

# SOLIDARNOŚĆ NIEZALEŻNE STOWO

Nr 8

31.03.1981 r.

Tygodnik MKZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” woj. wałbrzyskiego  
DO UŻYTKU WEWNĄTRZZWIĄZKOWEGO

## Oświadczenie Przewodniczącego MKS

Oceniając strajk ostrzegawczy 27 marca br., stwierdzam, że zakłady które wytypowaliśmy do strajku przeprowadziły całą akcję sprawnie, z pełną dyscypliną i zrozumieniem powągli sytuacji. Normalnie pracowały zakłady wyłączone ze strajku. Nie mieliśmy żadnego sygnału świadzącego o braku ładu i tak bardzo potrzebnego w naszym kraju spokoju. Związek całkowicie panował nad sytuacją — masowo poparta przez załogi akcja przebiegała zgodnie z instrukcją regionu. O godz. 12.00 wszyscy przystąpili do pracy.

Pragne serdecznie podziękować wałbrzyskim i nie tylko wałbrzyskim taksówkarzom, którzy na każde wezwanie MKS-u podstawiali potrzebną ilość samochodów zabezpieczając w pierwszym rzędzie sprawy przebieg informacji. Taksówkarze zapewnił także podczas strajku dyżury dla obsłużenia osób kalekich, chorych, matek z dziećmi i nagłych wypadków.

Wizytując, wraz z innymi kolegami z Prezydium, wybrane zakłady pracy stwierdziliśmy bardzo poważny wzrost obywatelskiej świadomości załóg i determinacji społeczeństwa. Jesteśmy pewni, że gdyby doszło do następnego podobnego kroku — a zwłaszcza zapowiedzianego na wtorek strajku generalnego — ludzie się nie wycofają.

Wielu obywateli naszego województwa przyłączyło się do organizowanej przez „Solidarność” akcji strajkowej po raz pierwszy. Uczniowie wałbrzyskich szkół uczestniczyli w zajęciach, podczas których uczono ich prawdziwej historii Polski. Po raz kolejny zostaliśmy zmuszeni do zwycięskiego dla nas referendum.

**JERZY SZULC**  
Przewodniczący MKS NSZZ „Solidarność”  
województwa wałbrzyskiego

Wałbrzych, 28 marca 1981 roku

## 8.00—12.00

Za nami została straż robotnicza z biało-czerwonymi opaskami na rękawach.

Na szczyście szybu dumnie powiewa narodowa flaga — jak gdyby na przekór naturze, bo tu na dole kroje deszcz, wiatru na lekarstwo, a ona wspaniale łopocze.

W hali maszyn kopalni „Wałbrzych” czeka na nas grupa robotników. W ciemnych od węglowego pyłu kombinizonach, z tak charakterystycznymi wysmolonymi twarzami, chociaż to nie są ci, co pracują tam pod ziemią.

Wraz z Jurkiem Szulcem i Mundkiem Pielką, wąskimi, blaszanymi schodami udajemy się do sali śniadaniowej. Po chwili okazuje się, że z trudem mieścimy się w tym pomieszczeniu.

To nie jest już ta jedna z pierwszych wrześniejących masówek, gdzie każdy chciał wykrzyknąć swoje żale i

bóle. Gdzie się lajało rząd na zasadzie chłopa do bicia, gdzie mówiono: albo dyrektor złożył się za bramę i podwyżka, albo strajk.

Teraz słowa są wyważone. Nikogo już nie nęci przegrado strajku. Pochowano do kieszeni swoje własne żale i ambicje. Jest jeden ogólnonarodowy żal, żal, który przerodził się w determinację.

— Nasze żądania nic nie kosztują. Nie kosztują ani złotówki. Chcemy mieć zapewnioną gwarancję bezpieczeństwa dla członków naszego Związku, chcemy by zaprzestano represjonować działaczy opozycji demokratycznej, chcemy by nasz kraj był krajem praworządnym i dlatego domagamy się przykładowego ukarania winnych bestialskiego zajścia w Bydgoszczy.

Bydgoszcz nie jest pierwszym przykładem łamania prawa. Mieliśmy już podpalenia, pobicia członków naszego Związku przez milicję, która nazywa się obywatelska.

dokończenie na str. 2

## Górnicy o bezpieczeństwie

30 marca 1981 r. odbywa się w WUG-u w Kałowiecach spotkanie, którego celem jest uzgodnienie ogólnej instrukcji zapewniającej bezpieczeństwo zakładów górniczych w przypadku strajku powszechnego, bezterminowego.

## UCHWAŁA NSZZRI „SOLIDARNOŚĆ” WOJ. WAŁBRZYSKIEGO

1. W wypadku strajku generalnego nie oddajemy do punktów skupu produktów będących przedmiotem eksportu.

2. Każdy przewodniczący koła zbiera informacje od rolników ile mogą zaofiarować produktów żywnościowych do dyspozycji MKS-u Wałbrzych.

3. Informacje przekazuje się przez kurierów lub bezpośrednio, telefonicznie do MKS-u w Wałbrzychu. Telefon: 260-71, wewn. 309, 310.

4. Oprócz tego, w miarę swoich możliwości, przekazemy bezpłatnie produkty żywnościowe, które — jeśli nie dojdzie do strajku generalnego — zo staną przekazane na rzecz Domu Spokojnej Starości w Wałbrzychu, Wałbrzych, 28 marca 1981 r.

Komitet Założycielski  
NSZZ Rolników Indywidualnych  
„Solidarność”  
woj. wałbrzyskiego

## Tadeusz Patulski Poprzedz znużenie

Rąz jeszcze, przez cztery godziny zamario życie w kraju. Każdy bez wyjątku obywatel czuł na sobie brzemie odpowiedzialności za ten strajk. Co prawda różna była skala odczuć i różne podjęcie, ale przede wszystkim dało o sobie znać zmęczenie. Ta wielka presja ciągnąca od sierpnia na ludzi nie ma drogi ujęcia. Z jednej strony odwaga i nieugiętość „Solidarności”, a z drugiej ciągle łamanie porozumień, a nawet pójście na ostrzejsze formy w postaci bądź to groźby, bądź też otwartego użycia siły, jak to miało miejsce w Bydgoszczy. Tak więc naród staje przed niekończącym się dylematem. A są tylko dwa wyjścia, albo w desperackim odruchu wygrać narzeczcie własne prawa, albo poddać się i nie mieć żadnej nadziei na przyszłość. Jest jeszcze trzecia możliwość, czyli tak zwana „ingerencja z zewnątrz”, ale nikt tego nie dopuszcza do myśli, bo równa się ona narodowej zagładzie. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. W trzecim przypadku rolę grają przede wszystkim nieunikniona wojna domowa, już całkowicie stracona zaufania do „przyjaciół”, a zwłaszcza kompletny chaos gospodarczy i to na wiele, wiele lat. Obserwując ostatnio cztery godziny strajku można dojść do przekonania, że ludzie już wybrali pierwszą możliwość, czyli desperację, a jest to dla nich ostatnia deska ratunku. Zbyt długo musiano żyć w kłamstwie i upodleniu, aby zgodzić się na to raz jeszcze. Niektórzy się dziwią: „czego ci ludzie właściwie chcą, przecież nie jest tak źle”? Być może tak się wydaje tym, którzy są u władzy, którzy nigdy nie zasnali codziennej ciężki j pracy i umieli przy-

dokończenie na str. 5

# SERWIS AGENCYJNY

## REUTER

Wielka Brytania

— przytacza depezę agencji Tass, w której czytamy: „Jeden z przywódców antysocjalistycznej grupy występującej pod nazwą KSS KOR Adam Michnik odmówił stawienia się w prokuraturze w sprawie działalności antypaństwowej tej grupy. Uzbrojone grupy, utworzone przez prawe skrzydło „Solidarności” przekazały przedstawicielom władzy w doprowadzeniu Michnika do prokuratury”.

## GUARDIAN

Wielka Brytania

— nawiązując do wydarzeń w Bydgoszczy pisze iż MO interweniowała po raz pierwszy na tak wielką skalę od czasu wydarzeń sierpniowych. Dziennik stwierdza iż MO interweniowała siłą, kiedy miejscowi działacze „Solidarności” i radni odmówili opuszczenia budynku WRN, w którym miano przedyskutować problemy związku rolników okupujących budynek WK ZSL od kilku dni. Gazeta informuje o pobiciu Jana Rulewskiego i innych osób w sposób brutalny i nieliczący z godnością człowieka.

## LE FIGARO

Francja

— pisze iż obecnie w Polsce uderzają dwa zjawiska: zjednej strony widoczne jest pogorszenie sytuacji gospodarczej, z drugiej zaś zarysowuje się zbieżność stanowiska wszystkich ludzi rozważnych w trzech głównych środowiskach — w partii, w związkach zawodowych i kościele

## LE FIGARO

Francja

— pisze, że zarówno Kania jak i Wałęsa znajdują się w słabej pozycji. Kania ma do czynienia z partią, która szarpana jest wewnętrznymi sporami i rywalizacją. Zaś Wałęsa nie panuje całkowicie nad nastrojami w związkach zawodowych, które są ruchem na wskroś zdecentralizowanym. Zdaniem wszystkich ludzi rozsądnych jedynym rozwiązaniem mogącym zaoferować Polsce ciężkich doświadczeń jest demokratyzacja dająca społeczeństwu prawo głosu. Działają jednak ekstremiści i to różnej maści, a szkodzą również i naciski Moskwy. Tak więc zdaniem dziennika sytuacja w Polsce jest wciąż płynna i niepewna.

## 8.00—12.00

dołączenie ze str. 1

...w ciągu kilku miesięcy naszej działalności, nasz dziesięciomilionowy Związek nie wybił ani jednej szyby, nie okradł ani jednego kiosku, nie podniósł ręki na funkcjonariusza władzy ludowej.

— kończy odpowiedź na jedno z pytań Jurek Szulc.

Niektórzy członkowie KC, Biura Politycznego uważają, że to oni wytyczają, że to oni realizują. Każdy protest uważają za sprawę polityczną, za anarchię, bo ja wiem za co — mówi jeden z robotników.

Jedziemy do kopalni „Thorez”. Pustymi ulicami przemyka kilka samochodów. Na chodnikach też niewielu przechodniów.

Koledzy dyżurnicy przed wejściem robią nam „trudności”, bo wiadomo, że strajk i nikomu nie wolno wchodzić na teren kopalni. — oczywiście nikomu niepowołanemu. Po chwili udaje się nam sforsować niedostępne wejście.

Szeryf „Thoreza” — Stasio Wróbel, „mel duje”, że przed zjazdem górników na dół zrobił masówkę. Nastroje wśród braci górniczej takie samo jak na kopalni „Wałbrzych”.

W trakcie rozmowy przychodzi do nas dyrektor kopalni. Mówi, że przed chwilą składał meldunek. Odpowiedział, że strajkuje 100% załogi.

Podezsa gdy my rozmawiamy, naszymu kierowcy, Andrzejowi przydarzyła się śmieszna historia. Otóż Andrzej pojechał zatankować benzynę (stacje CPN strajkowały). Korzystając z przywileju niezbędności (tak jak pogotowie) — otrzymał paliwo. Widząc ruch na stacji, pod dystrybutor podjechała syrenka. Wysiadł z niej pan i poprosił o paliwo. Powiedziano mu, że jest strajk. On w odpowiedzi wskazał na Andrzeja. Dowiedziawszy się, że jest to samochód MKS — chciał spraw-

dzić wiarygodność i poprosił o wylegitymowanie się, twierdząc, że jest milicjantem w randze sierżanta.

Andrzej nie miał czasu na pertraktacje i odjechał, a natrętnego pana odprawiono z kwitkiem.

Zajeżdżnia WPK przy ulicy Wrocławskiej, wita nas zgromadzonymi autobusami oraz taksówkami, które zebrały się w tym miejscu.

Nastroje wśród rozmówców jak poprzednio.

— Czy ci tam z góry powariowali.

— Czego do cholery oni chcą — pyta jeden z kierowców.

— Przez tyle lat wozili się na mnie, ale już dosyć tego — dodaje po chwili, jak gdyby udzielając sobie odpowiedzi.

Zajeżdżnia PKS-u. Komitet Strajkowy przez radiowęzeł nadaje komunikaty.

— Ach, żeby móc tak zradiofonizować całe miasto — marzy się jednemu z członków komitetu strajkowego.

Jedziemy dalej. Jest kilka minut po jedenastej. Na ulicy ruch trochę większy niż poprzednio.

DOSPUG. Pod bramą zakładu czeka duży str. Nam straż porządkowa otwiera „mknijęta na kłódkę bramę”.

Na dużej hall z wysokimi suwnicami stoi tłum robotników. Na małej platformie — członek MKS-u — Janusz Bilinski. Idealna cisza, spokój, powaga.

Jurek daje przez chwilę odpocząć Januszowi. Rozmawia z robotnikami.

Starszy, niski mężczyzna o poarane zmarszczkami twarzy, mówi:

— Utało się powiedzenie że rząd jest zmczony ciągłymi napięciami strajkowymi, strajkami, że nie może normalnie pracować. My też jesteśmy zmęczeni. Nie chcę narzekać na to, że tego czy tamtego nie ma. To nie o to chodzi. Jesteśmy zmęczeni psychicznie. Męczy nas ciągła niepewność naszego jutra. My nie narzekamy na nasze zmęczenie, chcę zapewnić wszystkich, że my w tym zmęczeniu wytrzymamy, wytrzymamy tak długo, jak będzie potrzeba.

Jest kilkanaście minut przed dwunastą. Zegnamy się z pracownikami

DOSPUG-u. Janusz zostaje. Jeszcze Wykorzysta te minuty rozmowy. My w pośpiechu jedziemy do Dolnośląskich Zakładów Graficznych. Jest tam drukowany numer specjalny naszej gazety. Chcemy podziękować drukarzem, którzy czas strajku poświęcili na druk naszego pisma. Po cichu liczyliśmy, że uda się nam odebrać kilka pierwszych egzemplarzy. Wredna awaria niweczy nasze zapędy.

Wracamy do MKS-u. Wysiadamy z samochodu. Witają nas walbrzyskie syreny.

Mirosław Sońnicki

## AKCJA WYBORCZA

Podajemy do wiadomości wszystkim zainteresowanych, że w walbrzyskim MKZ-cie powołana została do życia — i już pracuje pełną parą — Komisja Wyborcza przygotowująca wybory do władz wojewódzkich NSZZ „Solidarność”.

Informujemy równocześnie, że w siedzibie MKZ-u, w sali nr 5, odbędzie się dnia 7. IV. br. o godz. 12.00 spotkanie Komisji Wyborczej z przedstawicielami punktów konsultacyjno-informacyjnych i okręgów wyborczych. Spotkanie będzie miało na celu m. in. ustalenie ostatecznego terminu Walnego Zgromadzenia Delegatów regionu walbrzyskiego.



Antoni Matuszkiewicz

# Jedno zdanie

W sprawozdaniu z Moskwy mowa jest o oczekiwaniach się w moim kraju sprawach, o których wiem, że wyglądają zupełnie inaczej, inne mają oblicze. Wiem, bo wiozłem na własne oczy, styszałem na własne uszy, sam brałem udział — jest to wiedza oczywista, bezsporna, wprost namacalna. Z odbiornika pada zdanie: „Polscy komuniści mają możliwości i siły do odwrócenia biegu wydarzeń”. Jakich? Gdzie? Którędy? A przede wszystkim — dlaczego? Przytoczone zdanie jest ciemne, twarde, kanciaste — nie daje się przyswoić. Nie daje się też zapomnieć — trwa jak ogłós kamienia rzuconego do studni.

Towarzyszy mi — wciąż ostre i wyrazne — nazajutrz, gdy stoję na autobusowym przystanku, w zimnym, prawdziwie walbrzyskim wietrze: Przed oczami przesuwa się wielka ciężarówka — kontener. Myślę przez chwilę, jak to wynalazek te kontenery — nadaje się czegoś do takiej skrzyni, a potem w całości przekłada się ją ze statku na statek, na podwozie wagonu czy samochodu. Nagle wydaje mi się, iż prześladowane mnie od wczoraj zdanie ma coś wspólnego z owym brudnoczerwonym, podniszczonym kontenerem ginącym już z oczu za odległym skrzyżowaniem. Gdzieś daleko nadano mu taką a nie inną postać — potem przeżył je bez zmiany, bez zagładania nawet do środka, inne usta. Słone kanałami telewizji, płynęło na radiowych falach, jak pośpieszny pociąg stukotało na gazetowych linotypach. Niektędy dostarczone je do mojego, między innymi, domu. I tam dopiero rozszarpało się wszystko — echem różnorodnych znaczeń. Otwarta została otaczająca je, niewiedzialna blacha, widać — widzę to wyraźnie i wiem, jestem przekonany, że widzą to inni — iż zdanie to jest świadomie niejasne, sugerujące coś groźnego, jest powiedziane zamiast czegoś innego, coś zaskamia. Bez wątplenia natomiast wymierzone jest w to, co wspólnie — przez bardzo różne siły społeczne — zostało dokonane w naszym kraju. W to, co tworzyli także i ci ludzie, których teraz widzę na przeciwległym chodniku...

W zdaniu, od którego nie mogę się uwolnić, brak jest prawdy i dobra — wartości zasadniczych dla funkcjonowania ludzkiego świata (o ile ma być on ludzki).

Wymowa tego zdania tak się ma do delikatności i złożoności problemów, jak kawałek stali do ciepłej ludzkiej piersi.

Czy te refleksje to ingerencja w sprawy wielkiej polityki — ingerencja w domysły samowolna, nieusprawiedliwiona? W żadnym wypadku! Wszak jest to już mój, jak najbardziej własny, wewnętrzny problem! Podano mi go do domu! Stoję z tym problemem na odśnieżonej watorzyskiej ulicy, w swoim codziennym, zwyczajnym świecie i muszę — muszę — zająć wobec niego jakiegoś stanowisko. (Czyż ci, co mówią, nie zdają sobie sprawy, iż wobec ich słów każdy człowiek znajmie jakieś stanowisko, że spojrzę na nie od strony sumienia?).

Czy będąc komunistą, zgodziłbym się, aby taki „kontener” popychany był moimi rękoma, na podwoziu mojej idei? Czytałem ostatnio kilka tekstów polskich marksistów — realistycznych, mądrych, uczciwych w intencjach, których autorzy bynajmniej nie rezygnowali ze swych przekonań. Jestem przekonany, że z ludźmi tymi, mimo wszelkie światopoglądowe różnice, mógłbym współpracować. Rzecz jednak w tym, iż głos ich rozlegał się na innym, dużo wyższym poziomie moralnym.

Nie jesteśmy mocarstwem ekonomicznym, militarnym itd., jednakże nie da się ukryć, że pod względem poziomu formułowania idei (a także przygotowania społeczeństwa do odbioru idei na tym poziomie sformułowanej) stoimy wyżej od naszych sąsiadów. Różne są tego przyczyny — sięgające swymi korzeniami w historię dawniejszą, nowszą i najnowszą — tym niemniej fakt jest faktem.

Coraz częściej wydaje mi się, że konflikt, jaki przeżywamy aktualnie w naszym kraju (a kto wie, czy nie jest to także cechą większości współczesnych konfliktów światowych), nie polega na walce światopoglądów czy ideologii, socjalizmu z kapitalizmem itd. — ale że jest to głównie konflikt mądrości i głupoty, wyższej i niższej świadomości, szerszej i cieńszej pojmowanego światopoglądu. Front przebiega wewnątrz każdej ideologii. Warunkiem uratowania naszej ojczyzny przed wojną domową — tak jak na szerszym tle warunkiem uchronienia świata przed katastrofą nuklearną — jest wysiłek na rzecz stworzenia syntetyzujących sił ideowych, a przynajmniej poszukiwanie płaszczyzn współdziałania. Kto przywiązany do swoich dogmatów akcentuje różnice i obwarowuje się we własnych granicach, rozkłada świat na kształt pieśni.

Zauważmy, że w sposób zupełnie naturalny z mądrością polityczną kłóży się wolność, gdy tymczasem głupocie towarzyszy zawsze przekupstwo i terror, ponieważ sama z siebie nie ma ona siły pociągającej człowieka.

Prawdziwa rewolucja musi dokonać się — jak już wspominałem — wewnątrz każdego ruchu ideowego. Dobrym przykładem jest w tym względzie Sobór Watykański II w odniesieniu do katolicyzmu. Podobnego przełomu w swej politycznej psychologii i metodach swego działania powinna dokonać PZPR na swoim IX Zjeździe.

Dokonując jakichkolwiek zmian w Polsce, nie bójmy się sąsiadów — w sferze myśli politycznej jesteśmy po prostu od nich silniejsi! Pod warunkiem oczywiście, że przemawiamy nie ich językiem, ale własnym.

Antoni Matuszkiewicz

Marek Woner

## Trzecia odwilż

W 36-letniej historii PRL społeczeństwo nasze przeżyło dwie gwałtowne, lecz — niestety — krótkotrwałe odwilże: w 1956 i 1970. W podmuchach „hainego”, zwanego potocznie „ochnową”, sity zachowawcze topniały i wydawało się, że zjawisko to jest nieodracalne. Po paru miesiącach na politycznej mapie Polski rozbudował się jednak znowu „mroźny wyż”, niszcząc polską wiosnę. Aktualnie jesteśmy uczestnikami trzeciej odwilży i wszystkim nam powinno zależeć, aby to polskie przedwiosnie demokracji nie tylko trwało, ale rozwijało się dla dobra Ojczyzny.

Próbierem wiarygodności i procesu odnowy jest działalność środków masowego przekazu. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że w działalności Polskiego Radia, a częściowo także Telewizji (z niechlubnym wyjątkiem ogólnopolskiego DTV), zauważyć można wiele zmian na lepsze. Wrocławskie „Studio 202” czy warszawski magazyn „60 minut na godzinę” to programy, które bezlitośnie obnażają błędy i wypaczenia poprzedniego okresu, a co najważniejsze — stoją na straży odnowy, reagując na każdą nieprawidłowość, która mogłaby proces ten zahamować, i to cieszy.

„Polityka” z dnia 28 lutego 1981 roku cytuje dwa listy nadesłane do redakcji. „Trzeba zacząć od informacji, od przywracania wiary w informację i w informujących”. „Do nocy słuchamy zagranicy — to wstyd, że trzeba łapać koniec świata — żeby dowiedzieć się, co słychać obok nas”. Wydawać by się mogło, że wszyscy w PRL zrozumieli, iż społeczeństwo musi być obiektywnie informowane, zaś podawanie na głos prawdy i tylko prawdy, nawet bolesniejszej, wzbudza zaufanie społeczeństwa do władzy.

Tymczasem ze zdumieniem przeczytałem „Trybunę Ludu” z dnia 28 II 1981 roku. Dziennik ten w streszczeniu na temat posiedzenia Prezydium Komisji Zjazdowej PZPR wyznali, iż środki masowego przekazu wzywano do większego zaangażowania na rzecz stabilizacji życia i pracy. Nieładnie, a przede wszystkim niepokojąco to brzmie. Ile razy w przeszłości środki masowego przekazu wzywano do takiego czy innego zaangażowania, to gazeta przedstawiała być gazetą, dziennik radiowy — dziennikiem, zaś ludzie nastawiali skale radioodbiorników na zagranicę — rozgłoszenie, aby dowiedzieć się po prostu, o u nas się dzieje.

W tzw. „erze Gierka” środki masowego przekazu wzywano do preferowania sukcesu prawdziwego, a najczęściej urojonego. I tak powstała osławiona „propaganda sukcesu”. Nie muszę przypominać, czym to się skończyło.

Krajowi rzeczywiście potrzebne są stabilizacja, spokój i rytmiczna praca. Można to bardzo łatwo osiągnąć. Nie potrzeba angażować w to sztucznie środków masowego przekazu. Jeśli władza będzie przestrzegać Porozumień Gdańskich, zaś proces odnowy nie będzie zakłócany przez istniejące jeszcze tu i tam siły zachowawcze, wówczas nie będzie strajków ostrzegawczych i niepokojów społecznych, a w Polsce zapanują autentyczna stabilizacja i spokój.

Ewa Szumańska w wymienionej przez mnie audycji „Studio 202” trzy tygodnie temu powiedziała przed mikrofonem, że na ulicy Powstańców Ślą-

dokończenie ze str. 3

lich we Wrocławiu na skwerku wilocnym z okien tramwaju pojawił się adnie przez plastyka zrobiony napis „PZPR w awangardzie odnowy”. Aureka na falach eteru oświadczyła: 3ardzo byśmy się z tego cieszyli, ale 3aprawdę wiarygodne są czyny, a nie 3apisy. W propagandzie podobnie jak 3w produkcji liczą się efekty. Ktoś tu- 3aj chyba czegoś znów nie rozumiał, 3akiś urzędnik doszedł do wniosku, że 3jak się coś zmienia, to wystarczy zmie- 3nić napis, czyli znów ten wysłniany, 3crytykowany ogólnie sposób odajko- 3wania problemu przez hasła”.

Nie hasła więc i nie zalecenia od- 3górne adresowane do środków maso- 3wego przekazu doprowadzą do stabi- 3lizacji. Jeszcze raz podkreślam — 3jestem za stabilizacją w Polsce i każdy 3zdrowo myślący człowiek w kraju o 3tym marzy. Stabilizację można jednak 3osiągnąć tylko poprzez zdobycie przez 3władzę zaufania w społeczeństwie.

Polacy muszą się przekonać, że 3olskiej odnowie nic nie zagraża, a 3odwilż nie jest znów czymś krótkotr- 3wałym, lecz „przedwiosniem” zapo- 3wiadającym nadejście prawdziwie „po- 3litycznej i społecznej wiosny”.

Marek Woner



## Pod maską „SOLIDARNOŚCI”

razem ekonomiczne zale pod adresem 3władzy z antysocjalistycznymi hasłami 3KOR-u i w taki sposób przebieć się 3na polityczne proscenium na fali zoga- 3nizowanych wystąpień robotniczych. 3Momentalnie zapewniły im głośną re- 3klamę: „Wolna Europa”, „Głos Ame- 3ryki”, „Niemiecka Fala” i inne za- 3chodnie środki przekazu. Kuroń otrzy- 3mał nawet „ekspertów strajkowych” 3i drukowane instrukcje o „technice 3strajkowania”. Został wpływowym 3doradcą kierowniczej grupki nowonaroz- 3danej „Solidarności” i zaczął wydawać 3dyrektywy w sprawie strajków w 3zakładach Gdańska, Szczecina i Katowic. 3Osobiście formułował i dyktował za- 3żądania strajkujących. Wzmagając napię- 3cie kuronowiowcy starają się jeszcze 3bardziej oszkalować naszą komunistyczną 3partię i chronieni tarczą „Solidarnos- 3ci” zdemontować od wewnątrz stru- 3kturę państwowego ustroju Polski... „Peł- 3zająca kontrowersja” — tak 3określa wielu Polaków istotę taktyki 3Kuronia i jemu podobnych.

Franciszek Gostomczyk — O świdnickiej głodówce

## Byłem przy nich...

Głodówka rozpoczęła się 27 stycznia. 3Ja dowiedziałam się o niej dopiero 28 3i poszedłem do kościoła razem ze swo- 3im wiceprzewodniczącym z WPK Ma- 3gierowskim. Od Helskiego dowiedzia- 3łam się, że był już ktoś z MKZ-u. 3Mniej więcej w tym samym czasie 3co ja przyszedł też przedstawiciel Kom- 3isji Zakładowej „Solidarności” ze Spół- 3dzielni „Metalowiec” — Madej, które- 3mu w tym pierwszym okresie poleci- 3łem zorganizowanie ochrony głodują- 3cych (miliacji robotniczej). Madej do- 3starczał też ze swojego zakładu „An- 3kę”. Zawiadomilem swoją żonę (pra- 3cownicę Przychodni Rejonowej) przy 3pl. Lenina, wiceprzewodniczącą Kom- 3isji Zakładowej świdnickiego ZOZ-u 3prosząc o zabezpieczenie opieki medy- 3cznej. Wspólnie z Bilińskim z walbrz- 3skiego MKZ-u udałem się do proboszc- 3za, który zgodził się przeznaczyć 3pokój dla dyżurujących pielęgniarek. 3Dyżur rozpoczął się po południu. 3Wkrótce też przyjechała R-ka, której 3obsługa dokonała wstępnego badania 3wszystkich rozpoczynających głodów- 3kę. Wszyscy okazali się zdrowi, tylko 3Helski skarżył się na ból ucha. Wez- 3wany laryngolog przypisał mi stosow- 3ne leki.

Zapytałem: dlaczego podjęliście 3tak drastyczną formę protestu? Odpowiedź, 3to wskazanie przez Helskiego ręką na 3plakat: „Żądamy rejestracji Solidarnos- 3ci Chłopskiej”.

Wieczorem z Walbrzcha przyjechali 3Biliński, Łukasik i Pilchowski i pod- 3jęli z Helskim rozmowy. Nie byłem 3przy tym obecny, ale potem Helski 3powiedział mi, że nie jest zadowolony 3z odwiedzin, ponieważ namawiano go 3do przerwania głodówki. Później, przez 3cały czas, gdy któraś z tych osób 3wchodziła do pokoju, Helski udawał, że 3boli go głowa i nakrywał się unikając 3rozmowy. Ze mną mógł rozmawiać 3godzinami — tłumaczył mi różnice 3między Solidarnością Wiejską a Solidarnos- 3cią Chłopską, szczególnie wiele 3mówił o jednym z przywódców Solidarnos- 3ci Wiejskiej, naukowcu z uczelni 3warszawskiej, którego nie uważał za 3reprezentanta braci rolniczej. W czwar- 3tek odbyło się zebranie w MKZ-cie. 3Pilchowski i Łukasik zdali relację z 3rozmów w Świdnicy stwierdzając, że 3ich zdaniem głodówka nie odniesie 3skutku oraz sugerowali, iż należałoby 3ją przerwać. Takie podjęcie było 3uzasadnione tym, że do tego czasu 3odbył się już w Świdnicy dwie manife- 3stacje a na piątek — 30 stycznia — 3zapowiedziana była msza a po niej 3duża manifestacja chłopska. Ja na 3zebraniu podałem nazwiska głodują- 3ców i omówiłem warunki, w jakich prze- 3bywają, oraz opiekę medyczną.

W piątek byłem w kościele przed 3mszą i w rozmowie z jednym z księ- 3ży sugerowałem, by zaapelował do 3wiernych o spokojne rozejście się 3po nędzy. Udałem się potem do głodują- 3cych sprawdzić jak się czują. Stałe 3byłem tam na miejscu Madej, który 3poświęcił w tym celu swój urlop. Poma- 3gał mi w wolnych chwilach koleży z 3jego spółdzielni. Głodujący prosili swo- 3ich opiekunów o zabezpieczenie ich 3przed zbytnią ludzką ciekawością, 3gdy denerwowało ich częste otwieranie 3drzwi i zagładanie do środka. Madej 3zorganizował wypożyczenie magneto- 3fonu, radia, telewizora.

Głodujących odwiedzały delegacje 3świdnickich zakładów pracy. Po 3zebraniu w tutejszym Punkcie Konsul- 3tacyjnym komisji zakładowych, w 3którym brał udział prawdopodobnie 3przedstawiciel MKZ-u, przedstawiciele 3Punktu przybyli do kościoła i starali 3się przekonać chłopów o nieskuteczności 3strajku głodowego a przynajmniej o 3konieczności zmiany hasła protestu 3(chodziło o dołączenie prawa do 3zrzeczania się, cenzury, porozumień z 3sierpnia). Hasła te proponowano 3głodującym w mojej obecności. Chłopi 3tak zniechęcili się do owej delegacji, 3że słyszalem, iż są gotowi „dać 3tremp w lew”. W sobotę lub w niedziele 3przyjechali przedstawiciele z chłopskiego 3zjazdu w Bydgoszczy — Konopacki 3(rzecznik prasowy głodujących), 3przewodniczący Solidarności Chłopskiej 3Inowrocławia oraz członek przedy- 3dmiętej organizacji spod Częstochowy. 3Rozdawano ulotki, czytano komunikaty. 3Ludzie tak się gromadzili, że trudno 3było przejść. Baby płakały. Zapano- 3wała atmosfera podniecenia. Do strazy 3porządkowej dołączyli się okoliczni 3chłopi. W pierwszym okresie przycho- 3dziło więcej mieszkańców miasta — 3później chłopi przeważali. Pamiętam 3moment, kiedy starsza kobieta zaczęła 3lamentować krzyżując przy tym: „Jak 3możecie dopuścić by ci nieszczęśliwi 3chłopi tak długo głodowali! Kiedy się 3wreszcie zajmie nimi Państwo...” Moim 3zdaniem wśród tłumu była grupa 3ludzi nie związana ani z robotnikami 3ani z chłopami, prowokująca do ostrych 3wystąpień, sprzeciwiająca się gwałtownie 3wypowiedziom Konopackiego, 3wznosząca prowokacyjne okrzyki 3mające na celu wzajemne skłócenie 3ludności miejskiej i wiejskiej. Głodujący 3chłopi dostrzegali w tym skutków 3działalności MKZ-u.

Pewnego dnia doszło do bardzo 3ostrej wymiany zdań między Konopac- 3kim a delegacją Grupy Inicjatywnej 3działającej przy walbrzyskim MKZ-cie. 3Walbrzysianie otoczeni zostali przez 3agresywny tłum wiejskich kobiet 3opowiadających się zdecydowanie za 3Konopackim. Głodujący początkowo 3nie mieli wobec mnie tajemnic. Po 3incydentach z delegacjami MKZ-u, 3Punktu Konsultacyjnego i Grupy Inicjatyw- 3nej stali się także wobec mnie 3trochę nieufni. Woleli naradzać się w 3swoim tylko gronie. Zaczęły się po 3feriach lekcje religii. Ksiądz 3żądał dla dzieci 3swobodnego dostępu do sal kateche- 3tycznych. Dał mi klucze do bramy. 3Zamknięte zostały wejścia od ulicy 3i od kościoła. Wpuszczaliśmy tylko 3delegacje, rodziny rolników i 3prasę. Dzieci przychodzące na 3religię gromadzone w kościele a 3potem przez zakrystię 3przeprawowano na piętro.

Ksiądz uważał, że kościół 3jest miejscem modlitwy i wobec 3tego nie powinien dochodzić tu 3do manifestacji. Miał 3pretensje, że Konopacki i inni 3obsługujący głodujących wprowadzili 3go w błąd co do terminu 3zakończenia głodówki (miała się 3ona bowiem rzekomo 3zakończyć po konferencji 3prasowej). Ksiądz 3żądał nawet opuszczenia 3pomieszczeń przez Konopackiego 3i przedstawiciela z Częstochowy, 3jednak bez rezultatu. Ksiądz 3był w tym czasie 3pod silną prasą dewotek. Słyszalem 3jak mówiono: „To jest 3miejsce Boże, 3modlić się nie możemy, 3dzieci nie mo-

gą się uczyć..." Działy też naciski sil urzędowych. Przyjechał dyrektor wojewódzkiego Urzędu do Spraw Wyznań z zastępcą. Na marginesie taki obrazek — ktoś wchodząc raz do korytarza, przy którym była salka głodujących, zobaczył siedzących w głębi pod wielkim krzyżem dwóch urzędników i powiedział: „Siedzi tam pod krzyżem dwóch lotrów”. Książd obawiał się również, że cała ta sprawa spowoduje nowe komplikacje dotyczące budowy kościoła na Osiedlu Młodych.

Dziesiątego dnia, gdy zostało ich już tylko czterech słyszałem ich desperackie oświadczenie, że w razie nie spełnienia żądań zaryglują drzwi, przestaną przyjmować winy i będą trwać dopóki ich nie wypłoszą... Byłem z nimi przez cały czas, mimo zaleceń niektórych członków prezydium, abym tam nie był — niech radzą sobie sami jak rozpoznają głodówkę. Ja jednak uważałem, że ktoś od nas powinien oyc na wypadek ewentualnych incydentów. Np. ósmego dnia głodówki, kiedy sytuacja była bardzo gorąca (działania MKZ-u Wrocław polegające na szerzeniu informacji o tym, że Walbrzych nie zajmuje się głodującymi, skarga pielęgniarek na wtargnięcie porożonego wieczora pijaków, potem przyjazd przewodniczącego walbrzyskiego MKZ-u — Sulca) spędziłem na posterunku ponad trzydzieści godzin.

Chcę także podkreślić poświęcenie pielęgniarek, które podczas swego wolnego czasu — przed lub po dyżurach w miejscu pracy — opiekowały się głodującymi. Zapewniały odpowiednie dawkowanie glukozy, witamin itd. Z czasem głodujących ubywało. Moja żona odwiedzała przewiezionych do szpitala i nie słyszała od nich żadnych zastrzeżeń. Natomiast z dwoma ostatnimi, którzy znaleźli się w świdnickim szpitalu miał miejsce przykry incydent. Przez niepodpatrzenie otrzymali oni nieodpowiednie pożywienie i opuścili szpital na własną prośbę. Po tym właśnie fakcie Konopacki udał się do kolejowej służby zdrowia we Wrocławiu i załatwił dalszą opiekę nad głodującymi w szpitalu PKP.

6 lutego R-ka szpitala kolejowego zjechała ok. 13.45 przed kościół św. Józefa. O przyjeździe karetki wiedziałem już przez 11-tą i za czasów wezwałem zonę, która przygotowała dokumentację — historie choroby, wyniki badań — do przekazania. Ja sam uzgaśniałem w tym czasie z Konopackim treść ostatniego meldunku. Potem wyszedłem przed kościół. Tłumnie było jak w niedzielę, nie można było się przecisnąć. Odczytałem komunikat kilkakrotnie. Ludzie zadawali pytania typu: „Czy oni mają się sami wejść do karetki czy będą niesieni?” Razem z pielęgniarkami doprowadziliśmy głodujących pojedynczo, uroczysto, do drzwi i wprowadziliśmy ich do karetki z życzeniami zdrowia i tego, aby ich trud nie poszedł na marne. Znowu został odczytany — tym razem przez pielęgniarkę z karetki — końcowy komunikat. Bardzo wielu ludzi, nawet mężczyzn, płakało. Tłum przejeżdżał w ciszy, jakby wobec jakiegoś misterium. Karetka na sygnale odjeżdżała w kierunku Wrocławia. Dopiero wówczas odczułem w pełni potworne zmęczenie.

Tłum trwał jeszcze przez godzinę przed kościołem. Drzwi były zamknięte. Z pielęgniarkami, organistą, robotnikami z Metalowca porządkowaliśmy salę, wynosiliśmy materace, butelki po wodzie mineralnej. Przyjechała karetka i zabrala wagę oraz pozostawione leki. Odjechały na pielęgniarki. Otwo-

rzyłem bramę. Ludzie wtargnęli do sali głodujących i brali co było pod ręką jak relikwie. Zabierano pozostawione komunikaty, plakaty, ulotki. Końcowy komunikat dwie kobiety z jakiejś instytucji handlowej przepisały na brylistolu — przypiąłem go na drzwiach. Ubrałem się i wyszedłem do domu. Za bramą, oglądając się, zobaczyłem, że już podczas tych paru minut, jakie upłynęły ktoś zatknął za ów plakat wiązanki świeżych kwiatów.

## Rozmowa z A. Walentynowicz

dokończenie ze str. 7

stała na chrześcijanina. Ja sam wyprowadzę tego pana, żeby mu się nie stała krzywda.

I przeprowadził go do bramy, za bramę nawet, poprzez tłum, który tam czekał na niego.

Ten człowiek był u mnie niedawno i mnie przeproszał.

Wszyscy mnie przeproszają teraz i wszyscy są dla mnie mili i dobrzy.

Strażnicy, którzy wykręcali mi ręce mówią — dzień dobry, pani Aniu — i nawet przepustki nie chcą sprawdzić. Mistrzowie, którzy pilnowali, żebyim korzystała tylko z mojej toalety, składają mi gratulacje, a pani Jadzia, która gawędziła ze mną po kobiecemu, powiedziała — jestem z pania, pani Aniu. Poszłam do nich któregoś dnia w czasie strajku z angielskim dziennikarzem — jakże się mną ucieszyli — musieliśmy, pani Aniu, to wszystko robić, bo baliśmy się — powiedzieli mi. Ale teraz się nie boicie? — sptałami — Nie, teraz nie. I

rzuciliśmy się sobie w ramiona. Tak — że ja przypuszczałam — ludzie może nie są aż, tylko się bardzo boją.

Anna Walentynowicz na pytanie o dzień 14 sierpnia 1980 r.

Rano byłam w naszej przychodni u lekarza. Ktoś powiedział: STRAJK. Spojrzałam na dźwigi za murem. Stały. Na wszelki wypadek nie wróciłam do domu, tylko do znajomych, pod czterdziestym. Przed dwunastą przybiegła do mnie sąsiadka i mówi — dyrektor przysłał po ciebie wóz. Powiedziałam, że nie wyjdę stąd i niech pojedą pod samą bramę. Samochód podjechał, wskoczyłam i pojechałam. Parę minut po dwunastej weszłam do stożcu. W bramie stały jakieś dwie panie z kwiatami i okazało się, że były to kwiaty dla mnie. Ktoś powiedział, żebyim weszła na koparkę. Wszedłam i zobaczyłam ogromny tłum, jak podczas wizyty papieża. Nad tłumem zobaczyłam transparent: „**ZADAMY PRZYJĘCIA WALENTYNOWICZ**”.

Staraliśmy się nie płakać. Powiedziałam — Dziękuję wam — i zesłałam z koparką.

Następnie wszyscy poszliśmy do sali bhp, żeby się naradzić, ale resztę już pani pewnie zna, więc nie ma sensu powtarzać.

Hanna Krall

## Przez zmęczenie

dokończenie ze str. 1

mykać oczy na życie innych ludzi, na życie proletariatu. To prawda, można się ze wszystkim zgodzić, nawet z mawersacjami zwierzchników, ale tylko wtedy, gdy nie ma przeszkód ku temu, aby samemu czuć się niezależnym i sytym. Nie tylko kłębasy, ale sprawiedliwość. Wydaje się jednak, że nie ma odwrotu od procesu prawdziwej odnowy. Zastanawia jedynie kiedy przystąpią do wiadomości wszyscy uparci i urażeni. No bo jak to, jakaś tam klasa robotnicza ma dyktować życie w demokracji? Tak mniej więcej przedstawia się reakcja tych wiecznie zadolowanych...

A jednak wszyscy są zmęczeni. Żony i matki drżą codziennie o mężów i synów, bo wiedzą, że gdy tylko załami się ruch „Solidarności” nie nie uchroni ich od przesładowań i kar. Wiele też trzeba przeżyć, aby wyłumaczyć kobietom, że nie ma dla nas w tej chwili odwrotu, bo nikt nie wierzy, że władza, która sięgnie po najostrejszy argument — siłę, będzie jeszcze na tyle wspaniałomyślna, że ogłosi powszechną amnestię. Nie czyni tego żaden rząd na świecie, który użył siły wobec działaczy postępowych organizacji. My też wszyscy jesteśmy już zmęczeni i większość odczuwa nieobcy każdemu człowiekowi strach, ale nie będzie w nas spokoju, dopóki nasza ojczyzna nie stanie na prawdziwym gruncie socjalizmu, bo wszystko, co jest naszpikowane jedynie sloganami i obietnicami bez pokrycia umyka coraz dalej od demokracji. To jedynie blihtrz krzyczą fałsz i obłudę. Zarzucą się nam wiele czynów, których nigdy nie popełniliśmy. Zarzucą się, że nie szanujemy postanowień władzy, że drwimy ze środków masowego przekazu, a szczególnie z Dziennika Telewizyjnego, że wreszcie prowadzimy działalność polityczną, żeby nie powiedzieć wywrotową. Może to i racja, ale jak można szanować władzę, która nie ma szacunku dla „Solidarności”, wiadomym przecież jest z jaką pogardą i drwiną rozmawiały różni notabie o procesie odnowy.

Jak można wierzyć środkom masowego przekazu skoro na każdym niemal kroku spotykamy się z oczywistym kłamstwem i przeinaczeniem prawdy. Jak w końcu zrezygnować ze strajku skoro to nasza jedyna obrona. Rząd ma milicję, wojsko, ma zaciekłych aktywistów i ma środki masowego przekazu do dyspozycji, ma wreszcie poparcie „przyciąciół”, a my... nam zostało tylko strajk... i własne życie. Nie więcej...

Dlatego jesteśmy zmęczeni i nie nas tak nie ucieszy jak spokój. Wielka, dobra cisza, w której będzie można spokojnie wypić kawę, zapalić papierosa i nareszcie poczuć się swobodnie, jak we własnym domu. Niech jednak nikt nie myśli, że jest to fizyczne zmęczenie. Ono wzięło się z ogromnej bezsilności i ostatecznej desperacji. Patrujemy wciąż z zaufaniem w generała Wojciecha Jarużelskiego i czekamy, aż on przekona się ostatecznie, że z takim samym zaufaniem może spojrzeć na nas.

# Rozmowa z Anną Walentynowicz

(Trzeba, żebyśmy wiedzieli od początku, to może zrozumimy, co się stało. Czternastego sierpnia, co stało się, po dwunastej parę minut, kiedy to wchodziła do siołczki Anna Walentynowicz zobaczyła w bramie jakieś panie, czekające na nią z kwiatami i usłyszała, że jacyś panowie proszą, żeby weszła na koparkę i powiedziała parę słów).

— Mam pięćdziesiąt jeden lat, urodziłam się na Wołyniu. Miałam matkę, ojca, i brata. Kiedy wybuchła wojna ojciec poszedł na front, brata wywieźli, a matka umarła na serce. Przygarnęli mnie obcy ludzie. Po powrocie do Polski zaczęłam chodzić po wsiach i najmować się do pracy: latem do żniw, jesienią do sprzedawania noży kuchennych, które gospodarze wyrabiali ze starych kos, a zimą moi państwo wódkę, więc w nocy pinowałam, żeby nie rozszadziło kotła, w dzień nosiłam butelki na handel. Za tę wódkę i noże dostawałam mąkę, ziemiarki i naftę, które dźwigałam z powrotem do moich państwa. Przyjechalśmy do Gdańska. Gospodarze dostali od UNRRY kłacz i krowę, panice poszli do szkół i musieliśmy zająć się gospodarstwem. Ja do szkoły nie chodziłam, tyle co przed wojną, skończyłam wtedy cztery klasy, choć w papierach podaje, że siedem. Trzeba było wypełnić ankietę na spawacza i wpisałam cztery, ale kolega mówi — coś ty, Ania, przerób na siódmkę. Z czwórki bardzo łatwo siódmeczkę zrobić, więc tak zostało, ale prawda jest taka, że już nigdy nie uczyłam się, tyle co na kursie dla analfabatów w stoczni i na kursach spawania.

Moi państwo bogacili się, mieli już konie, świnię, żrebaki, pięć krów i kury i już się najmowało ludzi do pracy. Ja wstawalam o czwartej, żeby nakarmić stworzenie i przygotować śniadanie pracownikom, o siódmej szłam robić w polu i paść krowy, wracałam o siódmej wieczór, doilałam krowy, szłam z sierpem i wózkami po pokrzywy dla świń, przekręcałam je w sieczkarni, kładłam się o dwunastej, wstawalam o czwartej i karmiłam stworzenie.

Nie mówię, żeby oskarżać, tylko żeby oddać wierność moim przeciwnikom. Któregoś dnia zauważyliśmy przed domem w krzakach bukszanu jakiś grób. Chcieliśmy przenieść go na cmentarz i zaczęłam kopać, ale to nie był grób, tylko zakopane pudelko. Otkorzyłam je i zobaczyłam złote zegarki, broszki i pierścionki — jeden piękny zwłaszcza, jak trzykrotnie opleciony wąż z niebieskim oczkiem, ale pani przybiegła, zgarnęła wszystko w fartuch i zabrała.

Na wigilię postawiłam mi w kuchni talerz i przyniesiłam opłatek. Nie chciałam siedzieć sama, więc poszłam do koni i podzieliłam się opłatkiem ze Złotką. To była piękna kłacz, w kieracie szła jak artystka, krokiem tanecznym — mięśnie napięzone — o, tak — w dwa okrążenia już spociła się, tak była wrażliwa i delikatna. Złożyłam jej życzenia, a Złotka zarżała — jeśli takie rzeczy są niepotrzebne to proszę skreślić, ja tylko mówię, żeby oddać wierność, bo pani pytała.

W połowie lata postanowiliśmy iść gdzie oczy poniosą. Szłam, szłam, usnęłam, dalej idę i myślę sobie co robić. Życie odebrać był najlepiej, ale

wszystkie kosteczki. Byłoby dobrze jak? Moi państwo wyrabiali z padłego bydęcia mydło i widziałam jak soda kaustyczna szybko rozpuszcza, trochę tej sody zdobyć, ale skąd? No i nie odebrałam sobie życia i poszłam dalej.

Trafiałam do piekarni. Zostałam tam, bo wszędzie stały kosze białych bułek i niech pani sobie wyobrazi, że mogłam je jeść ile chciałam. Normalnie — bułki stoją, a ja biorę i jem. Nikt nie mówi, żeby nie brać, to ja biorę i ile chcę to jem.

Ilu ja dobrych ludzi spotkałam w życiu. Tych co mi pozwolili białe bułki jeść i tych, którzy mi oddali za darmo suteręnę i o dali piecyk, żebym sobie co suteręny wstawiła (barazo dobry jest taki piecyk na odmorenie, tylko trzeba najpierw nasmarować ciało natłą i grać przy otwartym ogniu, żeby nafta wyparowała), ale najważniejszy był jeden pan, który powiedział — nie siedź tutaj tak. Idź do stoczni, nauczysz się i staniesz człowiekiem.

## LUDDIE NIE SĄ ŻLI, ALE BARDZO SIĘ BOJA

Nie spałam całą noc. Modliłam się do Matki Boskiej Ostrobramskiej i całą noc drzące serce w mej pierści: czy tylko przyjmą mnie do tej stoczni, czy tylko przyjmą. Ale Matka Boska wysłuchała mnie i w listopadzie 1950 roku przyjęto mnie na kurs spawaczy. Osmego listopada 1950 roku przyjęto mnie na kurs dla spawaczy. (Osmego listopada dokładnie, tu jest pieczętka, a tu druga, obok — ósmego sierpnia 1980 roku — zwolnienie. Trzydzieści lat, jaki zbieg okoliczności prawda? (Rok później moje zdjęcie pojawiło się po raz pierwszy w gazecie w artykule pt. „Nasi przodownicy” i odtąd pojawiało coraz częściej — przed Zlotem Młodzieży w Berlinie, z okazji Kongresu Związków Zawodowych (pojechałyśmy we trójkę — Soldek, Golałek i ja, jako delegaci stoczni) oraz w gablocie przodowników na dziedzińcu. W kombinacie tam stoje, przy pracy, w jednym ręku trzymam maskę a w drugiej rękę spawalnicą. Obok mnie stoi Wsiewieśka Jadwiga — dwieście czterdzieści procent i Sekula Emilia — dwieście dziesięć. Ja miałam wykon najwyższy — dwieście siedemdziesiąt procent normy. Gablotka stała przed dyrekcją, a pod nią czerwona farba napis:)

## SPAWACZKI, PRZODOWNICY Z BRYGADY IM. RÓŻY LUKSEMBURG

Najważniejszym wydarzeniem w tamtych czasach był Zlot Młodzieży w Berlinie w 1951 roku. Najpierw spędziliśmy dwa tygodnie na obozie przygotowawczym, gdzie uczyliśmy się wielu rzeczy: chodzenia krokiem marszowym, śpiewania chórem „Hej wy konie rumaki stalowe”, oraz odpowiedzi na pytania agentów imperializmu. Zwłaszcza nie należało dać się namówić do pozostania a najlepiej trzymać się grupy i na niczyje pytania nie odpowiadać w ogóle. Pamiętam, że jakiś młody górnik ze Śląska powiedział wtedy — gdyby do mnie podszedł imperialistyczny prowokator, to skąd mogę wiedzieć jakbym się zachował? Na co wstał kolega z Olsztyna, wysoki blondyn i powiedział — jeśli już teraz kolega nie wie, jak by się zachował,

to cóż dopiero w Berlinie? I kolega górnik musiał złożyć oświadczenie, że źle się czuje ze zdrowiem i powróć na Śląsk. Co do mnie, to śiedziałam cichutko i powtarzałam sobie, że na pewno do żadnego prowokatora nie otworzę ust nawet.

Osiemnastego sierpnia zwiedziliśmy w Berlinie pierwszą wystawę, czeska. Chodziliśmy po niej dwójkami, a przy wyjściu — patrzymy — nie ma naszego kolegi z Olsztyna, tego wysokiego, co nie był pewny jak zachować się górnik. Robimy apel, odliczamy, nie ma. Idziemy na kwatery, nikomu z nikim rozmawiać nie wolno, a już z obcymi tym bardziej. No i odtąd każdego dnia ubywało po jednym delegacie, po dwóch, tyle, że już bez apelu i odliczania. Powiedziano nam tylko surowo, że nikt nie śmie opowiadać w kraju, co się stało, a jeśli zapyta ktoś, to mówimy, że wroga propaganda. Opowiadaliśmy tak szczegółowo o Złocie, bo to było ważne wydarzenie w moim życiu: po raz pierwszy sama zetknęłam się z kłamstwem i po raz pierwszy moja organizacja każała mi okłamywać innych.

Siódmego września 1952 roku urodził się mój syn. O jego ojcu nie opowiadamy, bo nie warto: przed ślubem jeszcze pokazał swoje prawdziwe oblicze i postanowiliśmy nie wychodzić za inąż.

Mieszkałam z moim dzieckiem w Domu Matki i Dziecka jakiś czas, a potem napisałam do Bolesława Bieruta i ostatecznie mieszkałam. To jest to właśnie, na Grunwaldzkiej, pokój z kuchnią, 53 metry, latem całe skąpane w promieniach słońca.

Anna Walentynowicz na moją uwagę, że jej historia jest życiem robotnika idealnego, jak Wandy Gościńskiej, ale Apraxa, ale braci Burdowa, z tamtych ludzi nikt jednak nie stał się przywódcą strajku. Czy w ogóle można wskazać jakiś dzień, jakieś jedno zdarzenie, które uznalibyśmy za trop prowadzący do tej bramy stoczniowej w dniu 14 sierpnia 1980 r.?

— W kolektywne naszego wydziału reprezentowaliśmy Ligę Kobiet. Raz w tygodniu zbieraliśmy się i ustalaliśmy kary i nagrody. Każdy zgłaszał swoich protegowanych do nagród i kiedy przychodziło do moich kobiet nie było już pieniędzy. Protestowaliśmy i mówiliśmy, że to niesprawiedliwe.

Kiedyś dostaliśmy trzy tysiące do podziału. Mieliśmy dać dziesięciu osobom po trzysta, ale okazało się, że pieniędzy nie ma, dostają je trzej członkowie rady — każdy po tysiąc. Podobno zresztą dwaj i tak musieli oddać przewodniczącemu, który grał w totalotkę i przegrał. Powiedziałam wtedy publicznie, pierwszy raz, że zabierają pieniądze, które należą się robotnikowi. Na drugi dzień mistrz szepetem zawiadomił mnie — pani Aniu, był telefon, ma się pani zgłosić, gdyby pani nie wróciła, co z dzieckiem?

Pytano mnie, czy słucham zagranicznego radia. Powiedziałam, żeby się nie wygłupiali i że nie chodzi o radio, tylko o wczorajszą naradę. Do pracy wróciłam po paru godzinach. Czy myśli pani, że to można uznać za początek?

(Nie, chyba nie. Podobnych historii z premiami, narad i przesłuchań były tysiące, tylko, że ludzie, których na rozmowy wyzwano, zwykle przesławiali potem zabierając głos, zaś Anna Walentynowicz mówiła dalej o krawędzie i niesprawiedliwości).

**Anna Walentynowicz na pytanie, czy się nie bała.**

— W 1964 roku wyszłam za mąż. Rok później zachorowałam na raka. Po operacji nawświetlano mnie radem przez sto cztery godziny, a kiedy wychodziłam ze szpitala, lekarz powiedział mi, że mam przed sobą w najlepszym razie pięć lat. Termin, jaki wyznaczali mi lekarze mijal w 1970 roku. Zaraz potem wybuchł GRUDZIEŃ — ten krzyk, ta ślepa rozpacz, z którą ludzie wyszli na ulice.

Pomyślałam — minęło pięć lat, a ja żyję. Jeśli Pan Bóg darował mi życie, to po to przecież, żebym coś z nim mądrego zrobiła. I zastanawiałam się — co też to powinno być. Wiedziałam, że sama wielkiej krzywdy nie zważyłam, więc zaczęłam od drobnych spraw. Zebrałam od ludzi na wydziale kartki na mleko, po które musieli chodzić do odległej stołówki, przyniosłam z domu garnek, gotowałam to mleko i nosiłam wszystkim na stanowiska pracy. To samo robiłam z zupą; dogadałam się z jednym człowiekiem, który mi przwoził zupę na wydział, podgrzewałam ją, a jak zjedli, zmywałam naczyńa. Nie kosztam pracy, tylko podczas przerw.

Przyszedł do mnie mistrz i mówi, że ja to robię pod publiczkę i że pracownicy mają chodzić do stołówki. Odniosłam naczyńa i znów zastanawiam się — co robić. Przed halą był kawałek ziemi, skopałam go i zasiałam kwiatki, ale przychodził mistrz i mówi — chce się pani popisać, prawda? — Ja nie, panie mistrzu, nie chcę — powiedziałam, tylko żeby kwiatki rosły, ale zabronił mi i więcej ogródka nie uprawiałam.

Nudziło mi się. Na suwnicy miałam roboty na cztery godziny, nie więcej (przeszłam na suwnicę po operacji), ogródka uprawiać nie wolno, zupy grać nie wolno, to siedzę na głowie i sztydekuję. Ktoregoś dnia — cisza na oje. Daję sygnał, kolega pisze mi na podłozie — STRAJK. Lecę na dół, a tam już stoi dyrektor i tłumaczy, że podział premii jest taki, jak zarządził premier. Wołam — przecież premier obiecał nam, że system podziału opracujemy sami. Jak krzyknęłam, luzidze mówią mi — idź do mikrofonu! Powtórzysz o premiach, ale doadam też, że będziemy poszli do pracy — i dopiero tamtego dnia, 20 maja 1971 roku, kierownictwo zwróciło na mnie uwagę. Nie jak wyzywało do strajku, tylko jak do ludzi usłuchali mnie. Nie na wezwanie kierownictwa, nie dyrekcji, tylko mnie właśnie i to dalo do myślenia moim szefom.

## CZEŚĆ II

### ANNA WALENTYNOWICZ — PONOWNIE NA PYTANIE, CZY SIĘ NIE BAŁA

W październiku 1971 roku umarł mój mąż, syn poszedł do wojska. Dzieńsiatego był pogrzeb, dwudziestego piątego wyjechał syn — zostalam sama. Czego miałabym się bać skoro zostalam sama?

O męża nie musiałam się bać, bo najgorsze już się stało.

O syna nie; bóg już dorósł. O siebie nie, bo wiedziałam, że Bóg darował mi życie, choć wciąż nie rozumiałam dokładnie dlaczego. To czego się bać? Nie, strach tu u mnie nie miał miejsca.

Zresztą zajęta byłam tylko pracą, cmentarzem i dojazdami do syna do Ustki. Na każdą wigilię brałam w jedną rękę torbę ze zniczami, w drugą wałowiek, na-pierw szłam na grób i zapalałam świecę, a potem jechałam do syna. Na grobie mówiłam — popatrz Kazik, jak jest. Wszyscy mają dziś swoich bliskich przy sobie, a wy jesteście w innym świecie każdy i ja nie mogę dotrzeć do was jednocześnie. Jak kosmonauta krąży między wami, między waszymi światami, czy to jest sprawiedliwe?

Własnoręcznie zrobiłam krząć moje-mu mężowi. Sama go kszepawałam, ocyknovalam i pomalowałam na białymie cza-ną farbą, że wygląda jak brzoza. Znicze mają długie podstawki i czasami poruszałam nimi i czułam jak dotykają trumny. Mówiłam — Kaziu, styszysz mnie? I opowiadałam o wszystkim, co zdarzyło się tego dnia na wydziale. Kiedy zakończył się strajk, prosto ze stożni pobiegłam na cmentarz. Kazik — zawałalam — Słuchaj! Zwycięstwo!

### ANNA WALENTYNOWICZ NA PYTANIE, KIEDY ZROZUMIAŁA, CO TRZEBA ZROBIĆ

— Po grudniu pomyślałam sobie — teraz się na pewno zmienię, nie jest możliwe przecież, żeby po tych strzałach, po tej krwi wszystko zostało po dawnemu, ale okazało się, że było możliwe.

Pomagałam wtedy dwóm kobietom, pani Łodzi, sparaliżowanej od dwudziestu lat z gościem postępującym i pani Alicji, osiemdziesięcioletniej starszeczce bez rodziny. Matkę Teresę z Kalkuty pytano kiedyś, co może dać człowiekowi na pół godziny przed śmiercią. Odpowiedziała: wiarę, że człowiek nie jest zupełnie sam. Ja nie mogłam nie zrobić dla wielu, dla wielu, dla wszystkich skrzywdzonych naraz, ale myślałam, że choć pomogę pani Alicji.

Dwa lata temu usłyszałam pierwszy raz o wolnych związkach. Nie wiedziałam co to jest, ale od razu zakiełkowała we mnie myśl, że gdybyśmy mieli prawdziwe wolne związki, to nie byłibyśmy tacy bezbronni wobec samowoli. Zaczęłam szukać ludzi, którzy mogliby mi to wytłumaczyć. Zdziwiłam się, jak zobaczyłam ich pierwszy raz, bo byli to ludzie z inteligencji, którzy chcieli pomóc nam, robotnikom. Opowiedziałam o nich kolegom na wydziale i przyniosłam do przekrytania różne rzeczy o związkach.

Zaczęto mi robić przykrości. Pracownikom nie pozwolono ze mną rozmawiać, a kierownik wydziału wyznaczył mi teren, po którym miałam prawo poruszać się: od bramy do szatni i od szatni do stanowiska pracy. Na halę miałam wyznaczony odcinek do wejścia do siatki, a ponieważ toaleta była już poza nimi, dorobiono mi kluczek do innej, z sąsiedniego wydziału. Każdy krok poza wyznaczony terenem był uważany za onuszczenie przeze mnie stanowiska pracy.

We wrześniu postanowiliśmy odejść na emeryturę. Przed emeryturą daje się zawsze ludziom wyższą grupę bez egzaminu, ale mnie zrobiono egzamin. Zdałam go i wtedy kierownik powiedział robotnikom: Chciecie, żeby dosta-

ła grupę? To zdejmijcie plakat. Plakat wisiał od czerwca, od wizyty papieża i nikt go nie chciał zdjąć, ale jak od tego uzależniono moją podwyżkę, ludzie powiedzieli — w porządku i zdjęli plakat.

Wszystko to było dosyć ciężkie do zniesienia, podtrzymywałam mnie tylko myśl, że nie jestem sama i że mogę się modlić. Modliłymi się codziennie po południu w kościele Najświętszej Marii Panny. Głośno odmawiałym różaniec w intencji przyjęcia do pracy zwolnionych ludzi, sędziów, którzy wydają niesprawiedliwe wyroki, tych co przychodzą na nasze modlitwy służbowo, a przede wszystkim, żebyśmy mieli zawsze odwagę stać w obronie drugiego człowieka.

W styczniu przeniesiono mnie na dział GS. Pracowałam tam z trzema osobami, którym wyznaczono zadanie: brygadzysta miał pilnować, żebym nie wychodziła, grupowy, żebym nie rozmawiała, a pani Jadzia miała ze mną gawędzić po kobiecemu. Przeniesienie to było bezprawne, ponieważ nie wy-mówiono mi warunków pracy, więc odwołałam się do komisji rozjemczej. Komisja rozjemcza przekazała sprawę komisji odwoławczej, komisja odwoławcza sądowni i po pół roku prawomocnym wyrokiem przywrócono mnie na poprzednie stanowisko na W-2. Mijały tygodnie, nikt tego wyroku nie respektował, wobec tego sama zgłosiłam się na W-2, ale kierownik zastąpił mi drogę i kazał odejść. Następnego dnia w bramie rzuciło się na mnie czterech strażników, chwycili za ręce, zabrali przepustkę i zaciągnęli do wartowni.

Codziennie przychodziłam do pracy, zgodnie z postanowieniem sądu, ale nie pozwalało mi pracować. Jednego dnia zamknięto mnie na klucz w szatni, drugiego strażnicy zatrzymali na wartowni siła, trzeciego nie się specjalnego nie działo, tyle, że dyrektor oświadczył, że wyrok sądu go nie obowiązuje — i tak dalej. Dziewiętego lipca strażnicy wezwali wóz i zawieźli mnie do działu kadr. Tu po trzydziestu latach pracy w Stożni Gdąńskiej, wręczono mi zwolnienie dyscyplinarne, świadectwo pracy i zaległą wypłatę. W świadectwie było napisane — z artykułu 52, za samowolne porzucenie pracy, choć przychodziłam dzień w dzień i odbijałam kartę.

Urzędniczka, która mnie zwalniała — powiedziała — pani Aniu, to straszne, co robisz z panią, ja dwie tabletki relanium musiałam wziąć, żeby móc pani dać to zwolnienie.

Zapytałam — A dlaczego właściwie pani to robi?

— Zwolnią mnie, jak nie zrobię — powiedziała — wtedy przyjdzie ktoś inny i zrobi to samo.

— To niech ten inny też nie robi. I jeszcze inny. Wszystkich nie zwolnią. Dlaczego ludzie nie rozumieją tak prostej sprawy, jak pani uważa?

**Anna Walentynowicz na pytanie, czy ludzie są źli**

— Kiedy wybuchnął strajk zaczęły się dziać z ludźmi jakieś dziwne rzeczy. Ludzie zrobili się dobrzy. Od razu, w ciągu jednego dnia. Nawet pewien pan, jeden z moich najgorszych prześladowców, zaczął tak jakos odważnie przemawiać do mikrofonu, ale tego nie wytrzymałam już i powiedziałam, jak się zachowywał wcześniej. Sytuacja zrobiła się trochę nie-mila i Leszek musiał się uspokoić. Proszę, żeby wszyscy usiedli — powiedział — i zachowali godność jak przy-

Jona Andronow — Przedruk z „Literaturnej Gazety”

# Pod maską „Solidarności”

## Problemy prawdziwe i pozorne

Nie kończące się, wyniszczające strajki — to najbardziej udręczający przeciętnego Polaka element obdziesiątego życia. Będąc nacożnym świadkiem odwodnionego strajku 23 i 24 stycznia mogę zaświadczyć jak ciężko było setkom warszawianek, kiedy z powodu niespodziewanego paraliżu miejskiego transportu, trzeba było rano przemaszerować wiele kilometrów, żeby się dostać do pracy. Tysiące dzieci nie mogło iść do szkoły. Mnóstwo ludzi siedziało na lotnisku „Okęcie”, ponieważ nie startowały samoloty. W stołecznym orapczaku chmur „Pałac Kultury i Nauki”, w którym miesi się ponad 40 instytucji i urzędów zamaryły wszystkie windy, nie obsługiwały nawet chorych na serce. Zerwana została mięczyściastowa łączność telefoniczna. Powstało niebezpieczeństwo unieruchomienia miejskiej kanalizacji. Do redakcji przodującej gazety „Trybunu Ludu” bez przerwy dzwoniłi oburzeni mieszkańcy Warszawy żądając opublikowania ich żądań natchmiastowego opanowania anarchizującego haosu i gospodarczo-ekonomicznej dezorganizacji.

Na drugi dzień strajku, co należy odnotować gwoli dobrego imienia polskiej klasy robotniczej, przy warsztatach w warszawskich zakładach stało wielu robotników. Według powszechnie panującej opinii bojkot strajku byłby znacznie powszechniejszy, gdyby wszedłoby wicherzyciele z zreszczenia zawodowego „Solidarności” — wówczas nie wystawili przed bramami fabryk bojków złożonych ze swoich funkcjonariuszy. Te bojkowy zatrzymywały siłą przybywających do pracy, groziły pobiciem za nieposłuszeństwo, zapisywały nazwiska tych, którzy się nie podporządkowywali aby móc się zemścić w przyszłości. Poza tym głośno odgrażali się, że zniszczą niewygodnych dla siebie administratorów w zakładach i instytucjach. Rozbójnicy z „Solidarności” groziłi na cały głos pobiciem sprzeciwiających się im dziewczętom-robotnikom z zakładów im. Róży Luksemburg. A kiedy zainteresowałem się kto i skąd dowodzi tymi specjalistami od pogromów, wymieniono mi przewodniczącą ugrupowania zawodowego „Solidarności” regionu „Mazowsze” niejakiemu Zbigniewa Bujaka oraz osławionego doradcę „Solidarności” Jacka Kuronia, którzy dowodzą ze sztabu warszawskiego sektora „Solidarności” mieszczącego się przy ulicy Szpitalnej pod numerem 5.

## Pełzająca kontrrewolucja

Warszawska rezydentura „Solidarności” w ponurym pięciopiętrowym budynku jest skonstruowana na zasadzie lodzi podwodnej, poszczególne komory są starannie izolowane od siebie. Dla zwyczajnych petentów dostępne są jedynie pokoje w amfiladzie na drugim piętrze, gdzie rozdaje się ulotki propagandowe i proklamacje z dyrektywami „solidarystów” podpisane przez ich tutejszego bossa Bujaka, jednocześnie zaś handluje się znaczkami „Solidarności”. W oddzielnym zaciśnionym pomieszczeniu przebywa personel sztabu. W piwnicy mnóstwo potajemnych zakątków. To właśnie tutaj trzy mie-

siące temu dostarczone na przykład podstępnie wykradziony z Prokuratury Generalnej PRL dokumenty i następnie kontrabandą przetrąpano za granicę do kilku antysojalistycznych ośrodków. To tu gdziejsi konspiracyjnie drukują nielegalny biuletyn Kuronia „Robotnik” i nocami rozwołują go po mieście.

W czasie mojego pobytu w sztabie, Kuronia i Bujaka tam nie zastałem — wybrali się w dwóch na zebranie szefów „Solidarności” w ich centralnym ośrodku w Gdańsku. Pozostali dowódcy „solidarystów” warszawskich woleli pod przetrzymami głupawymi pretekstami uchylić się od rozmowy z moskiewskim dziennikarzem. W zamian za to wręczono mi plik podpisanych przez Bujaka instrukcji wzywających do strajków. Choćby powodem strajków był formalnie sporny problem tak zwanych „wolnych sobót”, niemniej jednak problem ten, który władze zgodziły się konstruktywnie uregulować, został odsunięty w strajkowych zaleceniach na przedostatnie miejsce.

Pierwszym punktem było żądanie wodzów „Solidarności” umożliwienia im niekontrolowanej agitacji w radio i TV. W drugim punkcie inicjatorzy strajków domagali się zniesienia państwowej cenzury a przede wszystkim jej kluczowej zasady prawnej o obrocie narodowego bezpieczeństwa PRL, „Korzystając z wolności słowa i druku nie wolno naruszać międzynarodowych sojuszy i innych ważnych interesów międzynarodowych Polski”.

Przeciwnicy tej zasady walczą o podporządkowanie sobie ośrodków masowego przekazu pragną w istocie rzeczy bezkarnie oczernić sojusznice więzi Polaków z ich socjalistycznymi sąsiadami z narodami Związku Radzieckiego włącznie.

W trzecim punkcie strajkowego programu omagano się uwołnienia programu atezowanych prowokatorów, którzy otwarcie nawoływali do zerwania układów Polski ze związkami itaoziemskim i od zorojnego opanienia polskiego rządu. Słowem hersztawie „Solidarności” nazywając ją rzekomo apolitycznym ugrupowaniem faktycznie przystąpili do ciekawej walki politycznej zakamuflowanej pseudoeconomiczną strajkową terminologią.

Niepohamowany ekstremizm szefa warszawskiej „Solidarności” Zbigniewa Bujaka inspirowała półlegalna organizacja KOR, którą dowodzi herold sił antysojalistycznych Jacek Kuroń — wyjaśnił mi zastępca redaktora naczelnej „Trybunu Ludu” Anatol Kruczkowski.

Zbigniew Bujak, 26 lat, był elektromechanik, wcale się nie kryjąc, niejednokrotnie chwalił się głośno, że „wychowała go komórka KOR”, którą stworzył Kuroń. A ten ostatni już od prawie dwudziestu lat rozwija intensywną działalność na antysojalistycznej arenie, za co zresztą już dwukrotnie przebywał w więziennej celi. Choć — od dawna nie pracuje nigdzie, żyje sobie jednak całkiem niezłe za dostarczone mu po cichu dolary i bońskie marki, urządziwszy we własnym mieszkaniu na ulicy Mickiewicza w Warszawie punkt kontaktowy dla około trzydziestu odszczepieńców nienawidzących ustroju socjalistycznego.

## CZĘŚĆ II

Przez długie lata popierała ich jedynie żalona grupa „dysydentów — intelektualistów”. Kurońowi usilowo uzyskać poparcie polskiego katolickiego duchowieństwa, ale natrafił na kategorię sprzeciw. Zaczęli więc werbować studentów uniwersytetów i niektórzy ich rekrucy w Warszawie i Łodzi domagają się teraz bezczelnie zakazu nauczania w szkołach wyższych marksizmu-leninizmu i języka rosyjskiego, jednakże zarówno działają jak i poprzędno takie wysoki potopia zdecydowana większość polskiego społeczeństwa. I tak wegetowały sobie Kuroń na politycznych peryferiach gdyby w 1975 roku jego przedstawiciele nie zaproszono na konfidenjonalną naradę emigracyjnego śmiecia w Genewie. Natchmiast po tym kurońowi, zaopatrzni w błogosławieństwo zachodnich szefów specjalnych zaczęli realizować nowy kurs swojej wywrotowej działalności.

Od 1975 roku dywersanci z KOR-u zaczęli przenikać do stoczni, polskiego portu w Gdańsku i podszeptywać robotnikom złośliwe oskarżenia pod adresem władz, wykorzystując pojedyncze ekonomiczne niedostatki.

Kurońowi nie przypadkiem wybrali gdańską stocznię, ponieważ tam właśnie praca spawaczy w ciasnym pomieszczeniach statków była bardzo ciężka i czasami opłacana niżej niż praca innych robotników. Z tej samej przyczyny płynność kadr robotniczych na stoczni osiągnęła rocznie 40% przy czym uzupełnienia budowniczych statków w znacznej mierze stanowili najmłodszy do pracy synowie właścicieli prywatnych gospodarstw chłopskich. Słabość ich socjalistycznych przekonań i nieumiejętność pojmwania ogólnospołecznych interesów jak również błędy administracji i organizacji społecznych na stoczni, starali się wykorzystać kurońowi oraz ich zagraniczni inspirowcy.

Oprócz tego, między Gdańskiem a szwedzkim Sztokholmem, istnieje regularna komunikacja drogą morską, otwarta dla wszystkich chętnych bez żadnych formalności wizowych i kurońowi mogli utrzymać tam znakomite przyrządek dla przyjmowania zagranicznych kurierów z instrukcjami, walutą i materiałami propagandowymi.

— Kuroń mógł otrzymywać przez Gdańsk dolary i zachodniemieckie marki dosłownie całymi teczkami — opowiadał mi dobrze poinformowany warszawski dziennikarz Franciszek Lewicki — Kurońowi podawali się za przyrządek robotników i nie skapili jałmużny, ale mało kto im wierzył. Członkowie KOR-u mieli za zadanie przekać do robotniczych środowisk, szczeru prostactków na PZPR, połączyć

dokończenie na str. 4

REDAGUJE ZESPÓŁ: Jan Araszkiewicz, Paweł Bryzgoski, Krystyna Hajduka, Paweł Jach, Alina Janik, Antoni Matuszkiewicz, Tadeusz Patulski, Grzegorz Skiba, Mirosław Sosnicki, Marek Szełajek, Marek Woner

ADRES: Wałbrzych, ul. 1-go Maja 112, tel. 245-25

SKŁAD: DZG Wałbrzych, Al. Wyzwolenia 41 DZG 1501-3-9417 81 r. A4

DRUK: WZG „Kokomania”, ul. Parkowa 8a, Poz. 47781, złec. 132/81 — nakład 10.000 egz. Numer zamknięto — dnia 8. 03. 81 r.